



Rozmowa z Agnieszką J. Gordon

Między Wrocławiem, Trokami a Canterbury

Przez całe lata na tych łamach tworzyliśmy wspólnie wspaniałą galerię portretów postaci już nieżyjących, zasłużonych dla karaimskiej historii społeczników, duchownych, artystów, naszych przodków i krewnych. To malarstwo w stylu Rembrandta, gdzie nawet portret zbiorowy w niczym nie umniejsza indywidualności, a na palecie dominują odcienie starego złota i sepia, w których postaci z wdziękiem wynurzają się z mroku.

Czasem jednak mam wrażenie, że więcej wiemy o marzeniach i dokonaniach tych, którzy odeszli, niż tych, których spotykamy w Trokach, Warszawie czy internecie. A przecież to, jak nasi rodacy pracowitością i altruistyczną energią wzbogacają codzienność, kulturę i naukę swoich przybranych ojczyzn, nie zapominając przy tym o czułym pulsie krwi karaimskiej, jest dla nas wszystkich powodem do dumy i radości. Stąd pomysł na cykl portretów czy raczej autoportretów naszych współczesnych, gdzie jak u Klimta, kluczowe dla modelu symbole tworzą niepowtarzalny deseń, jak u Van Gogha zmienne kolory ożywiają tło błyskawicą, jak u Picassa trzeba portret obejść z kilku stron, żeby go zobaczyć. Na początek rozmowa z Agnieszką Gordon z domu Abkowicz, doktor chemii kwantowej, tłumaczką i dyrektorką polonijnej szkoły w Canterbury.

Hanna Pilecka: Miasto, w którym po pracy odbierasz Katię ze szkoły, jest pod wieloma względami bardzo dalekie od tego, gdzie pierwszego września zakładałaś granatową spódniczkę i białą bluzkę. Zacznijmy może od mapy Twojego dzieciństwa i pierwszych samodzielnych kroków, jak przypuszczam, dość dynamicznych.

Agnieszka Gordon: Moim miastem rodzinnym jest Kalisz, miasto uważane za najstarsze w Polsce, średniej wielkości, położone w Wielkopolsce. Mój ojciec, Gabriel Abkowicz po studiach z zakresu inżynierii lotnictwa otrzymał nakaz pracy w Wytwórni Sprzętu Komunika-

cyjnego PZL w Kaliszu, gdzie z wzajemnością zakochał się w Bożennie Błachowicz. Wzięli ślub, a po ośmiu latach ja się pojawiłam na świecie. Swoje naprawdę szczęśliwe dzieciństwo i lata szkolne spędziłam więc w Kaliszu, ale bardzo prędko zafascynowałam się Wrocławiem, do którego jeździłam (najczęściej z ojcem) w odwiedziny do dziadków, Natalii i Rafała Abkowiczów, a także stryjostwa – Zofii i Sławka Abkowiczów oraz Janiny i Michała Abkowiczów. Uwielbiałam te rodzinne spotkania, nasze wieczory w operze i operetce, zimą jedzenie lodów w cukierni na Komandorskiej, latem wizyty w zoo, zabawy z kuzynkami, głównie moją rówieśniczką Anią, nowe zapachy i smaki w karaimskiej kuchni babci i cici. Pamiętam, że Kalisz wydawał mi się nudny i dość wczesnie postanowiłam, że kiedyś będę mieszkać we Wrocławiu. Próbowałam nawet namawiać rodziców na przeprowadzkę, ale nic z tego nie wyszło.

HP: Zrezygnowałaś z tych planów, kiedy dorosłaś?

AG: Ależ skąd! Z wielką radością wyjechałam na studia na Uniwersytecie Wrocławskim. Wreszcie miałam szansę mieszkać tam, gdzie chciałam, a na tyle blisko domu rodzinnego, żeby do niego często jeździć. Poza tym to była taka wielka przygoda, wejście w dorosłość i samodzielność. No i ta wspaniała atmosfera wielokulturowego miasta, ta anonimowość, ten nieskończony wybór teatrów i kin, opera, operetka, kluby studenckie. Skończyłam ogólne studia chemiczne ze specjalnością chemia fizyczna i kwalifikacjami nauczycielskimi. Uczyłam nawet przez chwilę chemii w liceum, ale przerwałam tę pracę, żeby rozpocząć studia doktoranckie w zakresie chemii kwantowej na Wydziale Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego. W czasie studiów poznałam mojego przyszłego pierwszego męża i na rok przed obroną pracy doktorskiej urodziłam najstarszą córkę, Nike, rodowitą wrocławiankę.

Agnieszka, Kaliszanka z urodzenia, z rodzicami, Bożenną i Gabrielem Abkowiczami.





Świeżo upieczeni małżonkowie, Agnieszka i Charlie Gordon. Glasgow, 2005.

Po obronie pracy doktorskiej dostałam etat adiunkta w Zakładzie Chemii Fizycznej i Teoretycznej. Życie we Wrocławiu płynęło wsporniale. Do dziś za nim tęsknię, za odgłosem tramwajów z oddali, za Ostrowem Tumskim, gdzie chodziłam na spacer, za pracą naukową, którą kochałam, za budynkiem naszego Wydziału nad rzeką. Pierwsze lata mojej uniwersyteckiej kariery były bardzo owocne i inspirujące. Konferencje naukowe i staże zagraniczne, spotkania z ludźmi z różnych krajów i kultur, różne kuchnie, nowe smaki, wsporniale idee i wspólne projekty międzynarodowe. Praca bardzo satysfakcjonująca, ale też absorbująca, zwłaszcza, gdy jest się mamą małego dziecka. Pamiętam jak czasami musiałam zabierać córkę na wykłady, które prowadziłam w weekendy dla studentów zaocznych. Moja Nika rozpoczęła naukę w szkole podstawowej we Wrocławiu, ale ten etap trwał dość krótko.

HP: Dlaczego? Czy to wtedy wyjechałaś z miasta swoich marzeń?

AG: Przyczyniło się do tego kilka spraw. Ojciec Niki i ja się rozstaliśmy, potem na konferencji naukowej, którą współorganizowałam, poznałam mojego obecnego męża, no i nawiązałam współpracę z naukowcem w Edynburgu, żeby na tamtejszym Uniwersytecie prowadzić

badania finansowane z grantu unijnego. Jeździłam tam kilkakrotnie, za którymś razem zabrałam ze sobą Nikę, więc przyszedł czas na szkocką szkołę podstawową. Nie znała jeszcze angielskiego, ale poradziła sobie znakomicie. Do dziś ją za to podziwiam.

HP: Czyli zamieniłyście jedno miasto-poemat na drugie, równie fascynujące? Oba zachwycają urodą architektury, zielenią, niezwyklejmi pejzażami wodnymi...

AG: Edynburg jest położony na wzgórzach, co jeszcze bardziej dodaje mu uroku. Ma swoiście baśniową atmosferę, to prawie nierealne, żeby miasto mogło być takie piękne. Miałyśmy szczęście zamieszkać bardzo blisko sławnych Meadows, a z okien widziałyśmy wulkaniczny szczyt Arthur's Seat. Do tego szkoła Niki znajdowała się na Royal Mile, głównej ulicy turystycznych atrakcji, z wieloma zabytkami i muzeami, zwiedzałyśmy je więc popołudniami, praktycznie codziennie. Od Princes Street dzieliło nas 15 minut drogi na piechotę i każdego wieczora spacerowałyśmy wzdłuż jej ogrodów, wokół oświetlonego zamku, odkrywając kolejne stare domy i uliczki.

HP: Skoro rozmawiamy o miłości do pięknych miejsc, o zamkach i wyspach, powiedz, czy znałaś już wtedy Troki?

AG: Tak. Troki znałam najpierw tylko z opowieści – ojca oraz babci, która przy okazji moich wizyt opowiadała o tym, jak jeździła do Trok, przywiozła mi też kiedyś stamtąd bursztynową bransoletkę. Zawsze byłam ciekawa naszych karaimskich korzeni i często wypytywałam ojca i babcię. Najwięcej wiadomości miałam jednak od kuzynki, Marioli Abkowicz. Ojciec odwiedzał Troki w czasie swoich licznych delegacji do ZSRR, ale nas jakoś nigdy tam nie zabrał.

W latach dziewięćdziesiątych już jako studentka postanowiłam tam pojechać, by poznać dalszych krewnych. Ojciec skontaktował się więc ze swoją kuzynką, a naszą ciotką, Ireczką Robaczewską i na jej zaproszenie wybraliśmy się z moim młodszym bratem, Wojtkiem, do Wilna zimą. Ciocia ugościła nas wspianale, zwiedziliśmy miasto, a także spędziliśmy pierwszego karaimskiego sylwestra w gościnnym domu Kariny Firkowicz, z cudowną karaimską kompanią. Mimo, że byliśmy obcy dla tej zgranej paczki, przyjęli nas ciepło i było rewelacyjnie. W Nowy Rok pojechaliliśmy do Trok spotkać się z nieco starszą kompanią Marioli. Bawiliśmy się świetnie, ale Trok to ja za dużo wtedy nie widziałam. Dopiero latem, kiedy

znów się tam wybraliśmy, udało mi się posmakować trockich wakacji, zapoznać się z niewiarogodnym urokiem tego miejsca i mieszkających lub przebywających tam ludzi. Tym razem mieliśmy dość czasu, poznaliśmy więcej krewnych i był to wspaniały czas wesołej zabawy, śpiewów na Kapuście, pływania łódka, wieczornych imprez w „Paryżu”. Zostaliśmy nawet zaproszeni na wesele Elidiusa i Ludy w Poniewieżu. Potem odwiedziliśmy Troki jeszcze dwa razy, raz na Nowy Rok i raz latem, a po studiach pojechałam tam latem z ojcem Niki, żeby mu pokazać te wszystkie prześliczne miejsca i opowiedzieć o moich korzeniach.

HP: Jako wrocławianka wykorzystałaś geograficzną bliskość naszej ukochanej małej stolicy karaimskiej, ale potem, jak rozumiem, zamieszkałaś w Wielkiej Brytanii na stałe?

AG: Cóż, rok rozpoczęcia szkoły przez Nikę był rokiem pełnym zmian i atrakcji. W ciągu dziesięciu miesięcy Nika uczęszczała do trzech szkół: we Wrocławiu, Edynburgu i Canterbury. W 2005 roku poślubiłam bowiem Charliego i po kilku miesiącach razem przenieśliśmy się do Canterbury w Anglii, gdzie mój mąż, po wielu latach kariery akademickiej, dostał pracę w firmie farmaceutycznej Pfizer. Ja niestety nie



Katia Gordon (pośrodku) z przyjaciółkami: Helenką z Oxfordu i Gabriellą z Trok podczas letniej szkoły. Troki, 2019 r.

zdołałam tu dostać pracy w zawodzie, ale do 2011 r. byłam zatrudniona jako adiunkt na Wydziale Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego, z którym mam kontakty do dziś. Z uwagi na teoretyczną specyfikę mojej specjalizacji współpracuję z kolegami z mojej *alma mater*, tworzymy wspólne projekty i razem publikujemy w międzynarodowych czasopiśmie naukowych. W międzyczasie zajęłam się także tłumaczeniami specjalistycznymi w dziedzinie chemii i nauk medycznych, zrobiłam też kolejne studia, tym razem MBA (Master of Business Administration) na angielskim Open University. W 2007 r. urodziłam córkę Sonię i bardzo aktywnie zainteresowałam się dwujęzycznością. Szybko zdałam sobie sprawę, że jeśli chcę, aby moje dzieci biegle mówiły, pisały i czytały po polsku, potrzebna im jest większa ekspozycja na ten język niż kontakt i zabawy edukacyjne ze mną oraz coroczne kilkutygodniowe wizyty u dziadków w Kaliszu. Zaczęłam działać aktywnie w środowisku polonijnym i w 2009 r. założyłam grupę dla polskich mam i ich dzieci, która działa do dzisiaj. Rok później z dwiema nauczycielkami założyłam polską szkołkę sobotnią. Zaczynałyśmy od ośmiu uczniów. Nasza szkoła działa do dziś i w roku 2019 uczy się w niej ponad 60 dzieci. Za każdym razem, jak nad tym rozmyślam, przypomina mi się historia mojego dziadka, Rafała, który po pierwszej wojnie światowej, powróciwszy do Trok, zakasał rękawy, aby odbudować od podstaw midrasz karański. Niedaleko pada jabłko od jabłoni!

HP: A Twoja córka Katia, która w tych dniach urzekła nas swoją prezentacją w konkursie Związku Karaimów Polskich i Fundacji Karańskie Dziedzictwo?

AG: Katia urodziła się w roku 2013. Obie młodsze córki rozpoczęły naukę w mojej polskiej szkole w wieku 3 lat i kontynuują ją do dzisiaj. Do angielskiej podstawówki poszły również w Canterbury w wieku lat czterech (Sonia) i czterech i pół (Katia). Katia jest już trzecią córką odprowadzaną przeze mnie do tej samej szkoły w Canterbury – jako mama chodzę do niej od 15 lat. To stara placówka z tradycjami, miejsce lubiane przez wszystkie trzy moje dziewczyny. Współpracuję z nią w ramach wolontariatu jako wiceprzewodnicząca Zarządu oraz wynajmuję od nich sale dla polskiej szkoły, której jestem dyrektorką.

HP: Podobnie szlachetną tradycję pielęgnuje trocki midrasz ich pradziadka, Rafała, po zawirowaniach historii przywrócony karańskie społeczności. Choć moje dzieci mają dziś około



Aga Gordon w jesiennym Paryżu, podczas odwiedzin u kuzynki, towarzyski dziecięcych zabaw, Anny Abkowicz.

trzydziestki, z rozrzwieniem wspominają wakacje spędzane tam na lekcjach języka przodków i zajęciach integracyjnych. Czy Twoje też miały okazję tego doświadczyć?

AG: Od lat planowałam pojechać z dziećmi na szkołę języka karańskiego – niestety, zawsze wypada ona w czasie brytyjskiego roku szkolnego, a opuszczanie zajęć nie jest mile widziane i wymaga wiele zachodu oraz zgody dyrektora placówki. W końcu udało nam się pojechać w roku 2019, gdy lekcje w Trokach rozpoczęły się trochę później niż zwykle. W lipcu pojechaliśmy tam całą rodziną.

HP: I jak wrażenia?

AG: Wspaniale. Od pierwszej chwili poczułam swoisty „zew krwi”, jakby wcale nie minęło już ponad 20 lat od mojej ostatniej wizyty. Pamiętałam większość karańskich krewnych i znajomych, chociaż mnie nie wszyscy kojarzyli. Z częścią osób było łatwiej, gdyż utrzymywaliśmy kontakt na Facebooku, kilkoro członków naszej kompanii spotkałam też parę miesięcy wcześniej na urodzinach Ani Abkowicz w Paryżu, już wtedy więc odświeżyliśmy znajomość. Ogólnie poczułam się jak wśród swoich, fajnie było zobaczyć po latach twarze bliskich mi ludzi, poznać ich dzieci i małżonków, ale też odszukać nieznanych wcześniej krewnych oraz porozmawiać z osobami z pokolenia rodziców, którzy opowiedzieli mi parę historii związanych z moim ojcem.

Mój mąż również znakomicie się zrelaksował spędzając wakacje w tym przepięknym miejscu, chociaż nie tak intensywnie, jak my wszystkie. Wraz z córkami w pełni angażowałyśmy się w naukę karaimskiego, wspólne śpiewanie czy te rewelacyjne warsztaty! Nika rok wcześniej była tu sama, więc jak to w Trokach bywa, „zniknęła” ze swoją kompanią i cudownie spędzała czas. My z Charliem, Sonią i Katią w ciągu dnia pływałyśmy na rowerkach i zwiedzaliśmy okolicę, przeplatając chwile spędzane w gronie rodzinnym lekcjami i karaimskimi spotkaniami. Oczywiście, napychaliśmy się do woli przepysznyimi karaimskimi przysmakami w „Kiubète” i „Kybynlar”. Z mężem spędzaliśmy towarzyskie wieczory na miłych pogawędkach przy piwku, na tyle na ile pozwoliły nam obowiązki rodzicielskie. Dziewczyny też się świetnie bawiły, dużo się dowiedziały i nauczyły. Katia do dzisiaj podśpiewuje karaimskie piosenki – to ja się ich uczyłam na lekcjach dla dorosłych, a ona tylko siedziała obok, ale to ona je zna na pamięć, a nie ja! Ech, tak sobie wspominam i tęsknię – mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości uda nam się znowu odwiedzić Troki.



Absolwentka Wydziału Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego na murach trockiego zamku.

HP: Pandemia zablokowała, niestety, pewne możliwości, ale Karaimi nie rezygnują z życia społeczno-towarzyskiego, choćby online. Kilka tygodni temu nic jeszcze o sobie nie wiedziałyśmy, a dzięki spotkaniom ZKP w internecie teraz realizujemy wspólnie już drugi, po konkursie dla dzieci, projekt. Twoja rola w organizacji konkursu była kluczowa, napisałaś regulamin, stworzyłaś plakat. Czy możemy liczyć na następne twoje działania adresowane do naszej społeczności?

AG: Tak, zwłaszcza że przez tę izolację wiele osób nauczyło się obsługiwanie programów wideo-konferencyjnych. Możemy się spotykać częściej, międzynarodowo i w większym gronie. Ja między innymi uczestniczę w zajęciach języka karaimskiego prowadzonych on-line przez Romasa Czaprockiego, za co jestem niesłychanie wdzięczna. Romas jest wyśmienitym nauczycielem z ogromną wiedzą historyczno-etymologiczną, lekcje z nim są wspaniałą ucztą! Bardzo się cieszę, że mogłam się włączyć w działania ZKP i pracować nad karaimskimi projektami. Mam kilka nowych pomysłów, m.in. udało mi się już zorganizować zespół warsztatowy, z którym mam nadzieję wkrótce się spotkać, żeby zaplanować ciekawe zajęcia artystyczne, informatyczne i chemiczne.

HP: A wracając do Canterbury, co w tym mieście lubisz najbardziej?

AG: Canterbury, choć bardzo stare (jego dzieje sięgają epoki brązu – przyp. red.), tętni życiem. Mamy tu masę turystów, muzea, atrakcje dla dzieci, liczne parki, zoo, a w pobliżu kilka wspaniałych miejscowości nadmorskich. Podoba mi się luz i dystans Anglików oraz wielokulturowość tego miasteczka. Kiedy mnie ktoś pyta, skąd jestem, zawsze mówię, że z wielu miejsc, trochę z Kalisza, bardziej z Wrocławia, trochę z Edynburga i trochę z Canterbury. I większość moich sąsiadów czy znajomych to rozumie, bo sami czują się podobnie. Jestem Polką, jestem Karaimką, jestem również trochę Brytyjką, na pewno Europejką i obywatelką świata. Identyfikuję się również ze słowami mojego dziadka, Rafała Abkowicza: „Ojczyzna jest tam, gdzie jest moja rodzina”.

Dzięki temu, że miasto jest nieduże, nie jest się tu dla wszystkich kimś anonimowym, dzięki temu udało nam się nawiązać liczne znajomości i przyjaźnie. Poprzez moją działalność społeczną w edukacji polonijnej, edukacji lokalnej oraz wielokulturowej mam okazję uczestniczyć w wielu ciekawych projektach i rozwijać się na wielu płaszczyznach. Ponad rok temu wróciłam także do pracy akademickiej.



W ubiegłym roku Agnieszce udało się przywieźć do Trok całą rodzinę na Letnią Szkołę Języka Karaimskiego i nawiązać nowe przyjaźnie.

kiej, pracuję na jednym z lokalnych uniwersytetów jako manager projektu oraz badacz naukowy nad wielodyscyplinarnym projektem edukacyjnym na Wydziale Edukacji Uniwersytetu Christ Church w Canterbury.

HP: Ale Twój mąż nie jest Anglikiem, tylko Szkotem, prawda? Szkotów poznałam zdecydowanie mniej niż Karaimów, ale przedstawiciele obu narodów ujęli mnie poczuciem humoru, wszechstronnym wykształceniem i/lub żywą inteligencją, dumą ze swojego dziedzictwa i hojnością w podejmowaniu przyjaźni. Czy Wasza wielobarwna rodzina pielęgnuje swe szkockie korzenie równie pieczołowicie, jak polskie i karaimskie?

AG: Oczywiście, bo Charlie jest Szkotem w pełnym tego słowa znaczeniu, choć z domieszką krwi angielskiej i wychowanym w Londynie. Szkoci są bardzo podobni pod wieloma względami i do Karaimów, i do Polaków – w końcu też walczyli o wolność i zachowanie swojej tożsamości i kultury. Są również bardzo pomocni, otwarci i przyjaźliwsi, nie ma w nich nic z przysłowiowej „flegmy” Angli-

ków. W naszej rodzinie dbamy o wszystkie aspekty naszej tożsamości. Wyrosłam w dwóch kulturach i zawsze silnie odczuwałam obie, do tego fascynuję się różnymi językami, narodami i kulinariami. Mój mąż, który dorastał w rodzinie lingwistycznej w wielokulturowym Londynie, myśli podobnie. W naszej kuchni jest bardzo międzynarodowo. Teściowie wspierają nas w dwujęzycznym wychowaniu córek. Teść, który włada kilkoma językami, nauczył się nawet podstaw polskiego. Jest on dla nas również cennym źródłem wiedzy o historii Szkocji i jego rodzinnego miasta, Edynburga. Często odwiedzamy szkocką rodzinę i pokazujemy dziewczynom kraj przodków. Najczęściej bywamy w Edynburgu i Glasgow, ale staramy się też zwiedzać inne piękne szkockie miejsca.

Mimo tego, że dobrze nam się żyje w Canterbury, przyznam, że oboje z mężem marzymy o powrocie do Szkocji, którą tak kochamy. Lubimy też duże miasta, więc kto wie... Wszystko jeszcze przed nami.

HP: Życzę powodzenia i serdecznie dziękuję za rozmowę ■